Cena numeru 8 zł.

RÓZGI

BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok I | 15 Wrzesień 1946 | Nr 6

Trudności Konferencji Pokojowej w powojennym ukształtowaniu kuli ziemskiej



Rys. HENRYK TOMASZEWSKI

SAME KANTY

Obywatel Rózga ma głos



Ci lokatorzy, co teraz zamieszkają kamienicę — ludzie, trzeba powiedzieć, naogół nowi, przed wojną i w czasie wojny ich tu nie było. Co się stało ze starą wiarą? Ano, jak we wszystkich polskich domach — robota Niemców, narodu łagodnego i miłującego pokój. Mając te cnoty na uwadze, wysłali pana Kwaśniewskiego z rodziną do Oświęcimia, siostry Górskie z drugiego piętra do Ravensbrück, kupca Nissenbauma do Płoszowa, majstra Majchrzaka do kamieniołomów w Gusen, nauczyciela Pronaszkę i jego syna do Majdanka, wdowę Felińską do Stutthoffu, a inżyniera Pasternaka do Dachau. Krawca Trzepałkę i ucznia Kobielskiego zatrzymali na miejscu: ogarnęła ich litość, że Trzepałko za stary, a Kobielski za młody, więc ich tylko sprali do utraty przytomności i zakopali żywcem w lesie lućmierskim. Z tych wysłanych to Kwaśniewscy zostali w piecu krematoryjnym, Nissenbauma rozszarpał pies Amona Goetha, Felińska — brr — uległa przetopieniu na mydło z ludzkiego tłuszczu, a Pronaszkę i syna zamrożono na śmierć. Powrócił tylko inżynier Pasternak ciężko chory na gruźlicę, i jedna z Górszczanek o kulach i w ogóle nie podobna do ludzi.

Jak przywieziono inżyniera do domu, zaraz poszliśmy do niego z Czyżykiem. Pronaszko popatrzył na nas z uśmiechem i powiedział:

— No, cóż przyjaciele, jakoś przeżyło się niemiecką katorgę. Najbardziej cieszę się z tego, że doczekałem szwabskiej klęski. Widzę, że istnieje sprawiedliwość dziejowa. Przyszła Kryska na Matyska.

Rozpłakaliśmy się wtedy na te słowa, bo rzeczywiście warto i w ogóle to było rok temu. Byliśmy wowczas pewni, że inżynier Pasternak, człowiek inteligentny i ofiara wojny, ma rację i bardzo dobrym jest prorokiem co do sprawiedliwości dziejowej i Kryski, która przyszła na Matyska. Wielkie zwycięstwo nas zresztą wszystkich, jak to się mówi, rozpierało.

Niestety, w miarę, jak czas upływa od maja 1945 roku, to miny mnie i Czyżykowi jakoś rzedną. Z gniewu i oburzenia. Boć ostatecznie ciągle się słyszy z za kanału La Manche i z za Oceanu Spokojnego dziwną bardzo piosenkę: Biedne Niemcy, słabe Niemcy, cierpiące Niemcy...

— Co jest — mówię Czyżykowi — do stu rózeg? Kto, powiedz, bracie kochany, bidny, cierpiący: Niemcy?

— Oczywiście, że Niemcy — odparł Czyżyk — Przecież pozbawiono ich lebensraumu i możności zarządzania takimi uzdrowiskami pokoju, jak Oświęcim, Rawensbrück, Majdanek, Gusen i inne. To bardzo szkopów boli. Cierpią, że nie mogą kraść, mordować i prowadzić wojny.

Zgodziłem się, że to dla Niemców przykre, ale zapytałem, dlaczego Anglia i Ameryka tak pogłaskują Kainów Europy.

— E, bracie — zaśmiał się Czyżyk — Niemiec to Kain dla Polski, Rosji, Jugosławii, czy Czechosłowacji, ale dla angielskich czy amerykańskich fabrykantów broni i w ogóle giełdziarzy to — Abel. My przez szkopów straciliśmy w ostatniej wojnie 6.000.000 ludzi, a finansiści dzięki szkopom w ostatniej wojnie zyskali napewno więcej, niż 6.000.000.000 dolarów czy funtów. Co ich obchodzi słowiańska krew? Wolą swoją forsę.

— No, dobrze — powiedziałem — ale przecież politykę Anglii i Ameryki robią nie bankierzy, ale żeby nie skłamać, t. zw. mężowie stanu?

Czyżyk uśmiechnął się.

— T-a-ak sądzisz? — wycedził złośliwie — Poczekaj, a przekonasz się, że wyjdzie szydło z worka.

Rzeczywiście czekałem. Przeczekałem przemówienie Churchilla. Przeczekałem śmierć inżyniera Pasternaka, który zmarł, złorzecząc politykom alianckim w imieniu milionów ofiar wojennych, aż się, niestety, doczekałem. W ubiegłą sobotę przybiegł do mnie zdyszany Czyżyk i wkłada mi w rękę gazetę:

— Masz, czytaj! — krzyknął — Pan minister Byrnes, który nie miał jakoś czasu odwiedzić Polski, aby zapoznać się ze stratami, wyrządzonymi nam przez Niemców, pojechał do szkopów i rabani, że nie ma mowy o twardym pokoju, że Niemcy powinni się zjednoczyć, że należy znieść okupację i t. d. On im, powiada, w tym wszystkim dopomoże i nawet przydzieli polskie Ziemie na zachodzie.

— Jakto? — rzekłem zdziwiony Za zbrodnie niemieckie chce im jeszcze płacić z naszej kieszeni? Nie dla psa kiełbasa, nie dla małpy miód.

W tym momencie przyłączył się do nas lokator naszego domu, redaktor Patek.

—A, a, — zaśmiał się — Byrnesa obywatele studiują? Bardzo ładnie, tylko chciałem wam powiedzieć, że nazwisko to pisze się Byrnes, a czyta się byzness, znaczy — interes. Naturalnie, z tego interesu, nie martwcie się — nic nie będzie. Podobnie jak i z innych brudnych interesów.

Horacy Safrin

Chwast

Pana Nikodema Chwasta
łatwo poznać po łysinie —
gdzie nie posiać tam wyrasta,
w każdym skwerze, w każdym kinie,
w każdym biurze — CUPie, PURze,
w każdym wozie K. E. Ł.
ujrzysz jego oczka szczurze
w okularach lub bez szkieł

Chwast — natura to szeroka,
co w „narodzie" ma swój korzeń,
Chwast — obrońca i adwokat
uciśnionych ludzkich stworzeń.
Tam, gdzie spory, waśnie, zgrzyty,
gdzie sąd podzielony jest
cenią Chwasta autorytet,
jego słowo, jego gest...

Chwast, „ludowych" mas dobrodziej,
głos ma dźwięczny i łaskawy —
uśmiechając się łagodzi
i rozgrzesza „ziemskie sprawy".
Pasek, szaber, spekulacja,
w jego ustach brzmią jak „miód",
nadużycie brzmi jak „racja",
demokracja zaś — jak „wrzód".

Chwast przezacne swe poglądy
bliźnim się zaszczepić stara:
wierzy w ludzkość, w radio Londyn,
w „twarde", „miękkie" i — w Hemara.
Tylko czasem głos swój zniża,
cedząc słodko sans elan:
— Jak donoszą dziś z Paryża,
„trzeciej wojny" dojrzał plan — —

Godna naszej czci ozdoba
Chwast Nikodem (smutny finał!)
gdzieś tam, z kimś tam coś przeskrobał,
więc przygarnął go kryminał.
Jednak wierzy niezachwianie
że się słowa zmienią w czyn:
że go z ciupy wydostanie
i rozgrzeszy ktoś tam z... WIN.

Po przemówieniu Byrnesa w Stuttgarcie



Rys. Karol Baraniecki

„Demokrata" niemiecki: BYRNES MIT UNS

Z prasy:

Wpływ Anglii zadecydował o powrocie króla Jerzego na tron Grecji



Rys. Henryk Tomaszewski

ZNACZONA KARTA

WŁODZIMIERZ SŁOBODNIK

Piosenka Nadreńska

Jest to piosenka o losach
Pulchniutkiej Gretchen i Johna.
On zawojował Niemcy,
Zawojowała go ona.

On strzelał na froncie z armaty,
Co Fritzów bez przerwy gromiła,
Ona strzelała oczami
I serce Johna przeszyła.

Oczarowała go Gretchen,
Kiedy zakwitnął maj,
Ta nowa z Hitlerjugendu
Współczesna Lorelei.

On oddał jej wszystkie konserwy
I podał jej koniak w manierce,
A ona mu za to dała
Czułe niemieckie serce.

Płacze w Londynie Mary,
Że listów nie pisze John, —
Może na wojnie poległ
I leży w mogile on?

Lecz John jest zdrów i wesół,
Opatrzność od kul go strzegła,
Tylko, że jego miłość
Do własnej żony poległa

Ach, ciesz się, Czwarta Rzeszo!
Nie pójdziesz wrogom na żer ty,
Prócz grubych Ber' z żelaza,
Masz żywe grube Berty!

LIST

Siedziałam wieczorem w mieszkaniu, pisząc — w zastępstwie nieobecnego męża — odcinek powieściowy do pewnej gazety, gdy nagle rozległo się dyskretne pukanie do drzwi wejściowych. Otworzyłam. Na progu stanął jakiś mizerny osobnik. Ukłonił się i zadał dziwne pytanie:

— Przepraszam, czy ciocia kupi włóczkę?

— Ciocia? Jaka ciocia? Nie mieszkam z żadną ciocią. Pan się pomylił w adresie.

— Wykluczone — odparł osobnik — sprawdziłem dokładnie, wszystko się zgadza: to tu. A na pytanie, proszę pani, czy ciocia kupi włóczkę, należy odpowiedzieć: owszem, biało-czerwoną.

— Owszem, biało-czerwoną, — — powtórzyłam machinalnie.

— Tak to rozumiem — ucieszył się nieznajomy. Hasło — odzew, teraz dopiero mogę wejść.

— Dobrze, niech pan wejdzie, ale proszę zatrzasnąć drzwi...

— Zatrzasnąć? — uśmiechnął się osobnik. — E, co to, to nie: on na mnie czeka. Ten drugi.

— No, więc zaproś pan i tego drugiego.

— Nie można — oświadczył stanowczo nieznajomy. — Jak ja w mieszkaniu, to on na ulicy, jak ja na ulicy, to on w mieszkaniu... Ostrożność.

Wzruszyłam ramionami, prosząc ostrożnego do pokoju. Wszedł, zrobił kilka pas, parę reweransów, wiercąc kuprem i rozglądając się dokoła:

— Jesteśmy sami? — zapytał, mrużąc znacząco oko.

— Tak, a bo co?

— Lepiej — szepnął. — Alana pani zna?

Klasnęłam z radości w ręce. Alan to mój brat cioteczny, przebywający dotąd w angielskiej strefie okupacyjnej.

— Czemuż pan — powiedziałam z wyrzutem do wiercikupra— sztuki jakieś odstawia zamiast powiedzieć odrazu...

— Nic odrazu — rzekł surowo maniak. — Wróg czuwa. Podsłuch, niebezpieczeństwo, Sybir... Napewno jesteśmy sami?

Ależ co pan wydziwia, przecież mówiłam...

— W porządku — rzekł, sięgając ręką za nogawkę spodni i wyjmując stamtąd jakąś kopertę. — Oto wiadomość od Alana. Proszę przeczytać i odpisać. Jadę jutro z powrotem z Y.M.C.A. — zawiozę.

— Dziękuję bardzo, niech się pan nie fatyguje, już ja to załatwię przez pocztę...

Facet zaśmiał się jak stary, używany szatan.

— Przez pocztę? — krzyknął.— A cóż pani może mu napisać przez pocztę? Że tu jest dobrze, że mu głowy nikt nie urwie, żeby wracał?

— Oczywiście — rzekłam — że tak napiszę. Dlaczego bym nie miała tak napisać?

— Zakłamanie, zakłamanie — jęknął dziwny gość.— Wszyscyście tutaj w szponach propagandy, a my tam i tak lepiej od was wiemy, co się tu dzieje. Niech pani przeczyta list Alana.

Rozerwałam kopertę i załamałam ręce. Jak przeczytać podobny list? Jakiś rebus, logogryf, krzyżówka, rozrywka umysłowa.

— Nic nie rozumiem — rzekłam z rozpaczą do maniaka.

Ten kiwnął z uznaniem głową.

— Otóż to — oświadczył — właśnie o to chodzi. Szyfr, konspiracja, tylko dla wtajemniczonych. Pani pozwoli: ja przeczytam odrazu.

Wziął w rękę list Alana, wpatrywał się weń dość długo, tarł czoło, wreszcie mruknął zdziwiony:

— Psiakrew i ja nic z tego nie rozumiem. Przesolił Alan w szyfrowaniu. Ale to fraszka: pójdę po drugiego.

Po chwili przyszedł z kolegą. Ten obejrzał list pod światło i machnął tragicznie ręką:

— Niestety, tego nikt chyba nie odczyta. Jak się wobec tego dowie pani, biedna kobieto, co się dzieje tutaj w kraju?

Musiałam go pocieszyć.

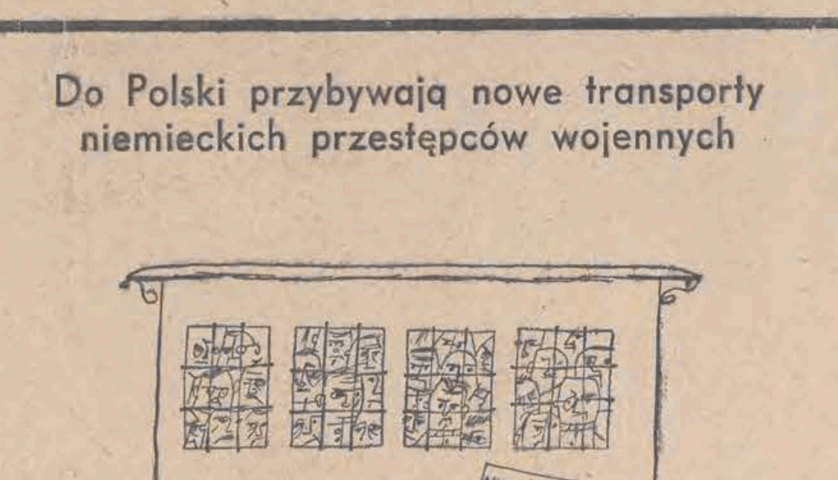
— Proszę się nie przejmować. Znam angielski, przeczytam sobie „Daily Mail", depesze „Associated Press"...

Bardzo się obaj z tego ucieszyli.

— Złota myśl — rzekli.

Lucyna Gogolewska

Do Polski przybywają nowe transporty niemieckich przestępców wojennych



Rys. Henryk Tomaszewski

„WĘDROWNE TRUPY"

FRASZKI

TADEUSZ ŚMIELIŃSKI

Nauka chodzenia

Gdy nie umiesz jeszcze chodzić,
To do Łodzi, bracie, goń —
Chodzić cię nauczy w Łodzi
Milicjantki biała dłoń.

Najruchliwsze skrzyżowanie
Miniesz, by największy zuch,
Kiedy milicjantki ramię
W mieście reguluje ruch.

Nie wiesz: w lewo iść, czy w prawo,
Albo w tył czy też na wprost —
Ów drogowskaz z wielką wprawą
Wnet pozbawi cię tych trosk.

Choćbyś był przyzwyczajony
Do najbardziej krętych dróg
Wskaże ci właściwą stronę,
Byleś tylko zdążyć mógł.

Gdy się wahasz: pójść w szeregu,
Czy poczekać jeszcze rok —
W równy rytm wspólnego biegu
Twój niepewny zmieni krok.

Nie pozwoli iść na ślepo —
Łatwo mógłbyś wpaść pod wóz;
A na wozie przecież lepiej —
Mijasz błoto, śmieci, kurz!...

Dobrze że nas ktoś prowadzi,
Bez wskazówki — Boże broń —
Byle by u drogowskazu
Była zawsze — czysta dłoń!

JAN CZARNY

UCZYNNEMU

Od urodzenia żyjesz cudzym bólem,
często ogarnia cię uczucie bratnie,
zdjąłbyś z siebie ostatnią koszulę,
gdyby ktoś zechciał... wyprać ją bezpłatnie.

WYBITNEMU

Ty, co wysoko nosisz swą głowę
i patrzysz z góry na ziemski padół,
nosem nie zawadź chmury deszczowej,
bo się nabawić możesz kataru.

KŁOPOT

Znam jedną bardzo słodką niewiastę:
o drugiej, pulchnej wciąż trapią mię sny.
Cóż z tego? Wczoraj był dzień bez ciastek,
a dzisiaj znowu, jest dzień bezmięsny...

NA TWĄ RZEŹBĘ W GIPSIE

Powiedzieć można dobra robota,
widać, ma rzeźbiarz ręce ze złota...
Oczy, jak żywe, te same usta...
i głowa twoja, bo w środku... pusta.

KAJETAN SZALEJ

FREUDYSTA

Przez lata czytał uczone teksty,
Badał swą psychę, sny i kompleksy.
Odkrył u siebie, ślęcząc nad Freudem,
Myślicie: kompleks? Nie! — hemoroidy!

U CHIROMANTKI

Że zakpiłem z jej proroctw, damulka pyskata
Orzekła, iż mnie wkrótce znaczna spotka strata,
Jej zaś ześlą niebiosa kosztowny podarek...
— Tuż za drzwiami stwierdziłem, że znikł mi
zegarek.

STANISŁAW SOJECKI

Sprawa zasadnicza

Niema — mówiąc między nami —
Jak urzędnik z zasadami.

Otrzymałem kartkę w biurze,
Że przyznano mi w naturze.

Śpieszę podjąć — słyszę, że nie —
Że to nieporozumienie.

Zaszły ZASADNICZE zmiany.
Więc nie byłem przewidziany.

Że w ZASADZIE by się dało,
Lecz tu gmatwa sprawę całą
Właśnie moment ZASADNICZY,
Że mnie zapomniano wliczyć.

Gdyby wcześniej dzień lub dwa dni,
Łatwiej było UZASADNIĆ.
Dzisiaj jednak nie da rady,
Bo „my mamy swe ZASADY".

A czy jutro? — pytam płonąc —
ZASADNICZO — nie wiadomo!

I tak w kółko — w tę i nazad —
Dziwne, skąd aż tyle ZASAD.

Więc, choć kwit mi dano w biurze,
Nie otrzymałem nic w naturze.
Muszę z przyczyn ZASADNICZYCH
Odejść z kwitkiem, czyli z niczym!

Kiedy Panteon powtórnie zamieniono na kościół, chciano wyrzucić stamtąd prochy Woltera.

— Zostawcie go — powiedział Ludwik XVIII — aż nadto będzie ukarany, słuchając codziennie mszy świętej.

*

Pan de P. prosił arcybiskupa o darowanie mu pewnego domu na wsi, dokąd arcybiskup nigdy nie jeździł. Ten mu odmówił:

— Wie pan, że zawsze trzeba mieć takie miejsce, dokąd się nigdy nie jeździ, ale się wierzy, że byłoby dobrze tam pojechać.

Pan de P., po chwili milczenia, odpowiada:

— To prawda i to właśnie stanowi powodzenie raju.

*

Pewna wielka kurtyzana wmówiła w naiwnego młodzieńca, że jest dziewicą i poszła z nim do ślubu. Gdy nadeszła godzina, o której zerwany miał być kwiat miłości młodzieniec ledwie zrzucił z siebie ubranie skoczył do łóżka. „Jakto, panie? — zawołała panna służąca, która mu pomagała przy rozbieraniu się — pan nie zmienia koszuli? Moja pani lubi czystość i zawsze wymaga, aby ci,którzy z nią sypiają, przedtem wkładali świeżą bieliznę.

*

Verlaine'owi wypłacono kiedyś w redakcji honorarium pięciofrankówkami. Nazajutrz poeta wpada zziajany do redakcji.

— Czy nie wstydzi się pan — woła do kasjera — dawać mi fałszywych pieniędzy?

— Niech się pan uspokoi, zamienię panu w tej chwili — odpowiada kasjer — i wręcza poecie nową pięciofrankówkę.

Ten chowa ją do kieszeni.

— A fałszywa?

— Fałszywa? — krzyczy czerwony ze złości Verlaine — dosyć miałem pracy z wpakowaniem jej w sklepiku.

Pan Swain, kapelan statku „Rutland" spytał podczas silnej burzy jednego z marynarzy, czy grozi im jakie niebezpieczeństwo.

— Jeżeli będzie tak wiało jak teraz — odpowiedział marynarz — to przed północą będziemy już w niebie.

— Niech nas Bóg od tego uchowa! — zawołał przerażony kapelan.

Pewien szlachcic, obsypany był łaskami dworu. Gdy mu składano z tego powodu mnóstwo komplementów, młodzieniec powiedział, że wszystkie fawory otrzymał, nie czyniąc ani kroku.

— To prawda — powiedziała pewna księżna, której szlachcic zawdzięczał swoje odznaczenia — chodząc na czworakach trudno liczyć kroki.



Rys. Zenon Wasilewski

— To pani teraz sprzedaje ser?
— O! To tylko dlatego, żeby muchy nie siadały na wędlinach

U pani A. obiady były posiedzeniami literackimi, którymi kierowała i którym przewodniczyła gospodyni. Pewnego dnia, kiedy Jules Simon rozwijał pewną teorię społeczną, Renan otworzył usta. Pani A. spostrzegła to i mówi:

— Chwileczka, panie Renan, za chwilę będziemy szczęśliwi posłyszeć pana.

Kiedy zaś Simon skończył, spytała:

— Pan, zdaje się, chciał coś powiedzieć, Panie Renan?

— Tak, chciałem poprosić jeszcze raz o fasolę.

*

Biedny krawiec, zwolniony od cierpień tego świata i od złej kobiety, zjawił się przed wrotami raju. Święty Piotr go zapytał, czy odbył już swój czyściec.

— Nie, — odpowiedział krawiec, — ale byłem żonaty.

— Och! — odpowiedział apostoł, to jest zupełnie to samo!

Zaledwie wszedł krawiec do raju, kiedy jakiś wielki pan prosi znowu świętego klucznika o przejście.

— Zwolna, zwolna, jegomość — powiada święty Piotr, — czy byłeś pan już w czyśćcu?

— Nie, —odpowiedział tamten — ale cóż to znaczy? Tylko co przepuściłeś krawca, który równie jak ja ani zajrzał do czyśćca.

— Tak, ale on był żonaty.

— Żonaty!? Ależ ja byłem trzy razy żonaty!

— Hola, hola! — zawołał święty apostoł, a cóż pan sobie myślisz, że raj jest dla wariatów?

*

— Przysięgam ci na tę świecę — zawołał młody człowiek do swej żony, — że nie przestałem tej nocy myśleć o tobie! Myślałem, żeś mnie zdradziła...

— Niech mnie ten chleb otruje, jeżeli to jest prawda, — odpowiedziała żona.

— Zjedz ten chleb, zjedz więc ten chleb — woła mąż.

— Nie, zjedz pierwiej tę świecę. Ty pierwszy przysięgałeś.

Stefan Stefański — Ilustr. Kazimierz Grus

Kuracja



Mówią, że Ubezpieczalnie tylko ściągają składki, a nie dają ludziom tego, co się im za te pieniądze należy. Przesada. Może nawet i jest tak w ogólności, ale już np. Kowałkiewicz otrzymał z Ubezpieczenia społecznego więcej, niż się sam spodziewał. Niby tytuł do tego posiadał, bo i choroba serca i wyczerpanie nerwowe i ogólna anemia, ale ostatecznie osób z takimi niedomaganiami jest u nas do licha i trochę, a ile z nich dostaje skierowanie na kurację? Kowałkiewicz akurat dostał. Bardzo był z tego zadowolony. Żona Kowałkiewicza też.

— Fiu, fiu — mówiła — Sanatorium — doniosła rzecz. Wypoczniesz, zdrowie podreperujesz, nie będziesz mdlał w biurze, nie poznam cię w ogóle po powrocie. Pisz tylko, kochany!

Upłynął tydzień od czasu, gdy Kowałkiewicz, zaopatrzony w skierowanie lekarskie do sanatorjum, pidżamę, szczotkę do zębów i przybory do golenia wyjechał na kurację. Pamiętał o prośbie żony i przesłał list przez jakąś przyjezdną kobietę.

„Nigdy — pisał — nie byłem w żadnym sanatorium, to też być może dlatego wydaje mi się tu trochę dziwnie. Przedewszystkim nie bardzo rozumiem, dlaczego mnie ogolili do gołej skóry i odebrali mi okulary, ale ten wysoki pielęgniarz, który zastępuje ordynatora, powiedział, że tak trzeba i że on nie może robić żadnych wyjątków. Dodał również, że nie będę mógł korzystać z przyborów do golenia, gdyż się napewno skaleczę. Bardzo mnie wzruszył ten dowód troski z jego strony. Zresztą większość tutejszych kuracjuszy nosi brody".

Po paru dniach Kowałkiewiczowa otrzymała od męża następną wiadomość.

„Nie wiem, czy to akurat t. zw. pełnia sezonu, ale kuracjuszy w sanatorium jest bardzo dużo. Stąd mieszkać tu trochę ciasno i niewygodnie. Muszę jednak stwierdzić, że kuracjusze stoją na wysokim poziomie społecznym i towarzyskim. Znajduje się więc np. książe Mdivani, mąż nieboszczki Poli Negri, bardzo przyjemny człowiek, z zawodu inżynier. Umówiliśmy się nawet pojechać razem do Krynicy, gdyż książe — inżynier jest wielbicielem Kiepury i chciałby obejrzeć jego „Patrię". Pielęgniarz okazał się nieco brutalny. Trzeba ci wiedzieć, moja droga, że wielu kuracjuszy ma zwyczaj wyśpiewywać w nocy głośno różne piosenki. Treść tych piosenek jest wprawdzie niezrozumiała, ale to nie powód, żeby ryczeć po chamsku na całą salę: ej, wy tam, przestańcie wyć, bo mordy porozkwaszam. Przypuszczam, że pielęgniarz pochodzi z nizin".



Trzeci karteluszek od Kowałkiewicza zawierał pewną propozycję:

„Jeżeli masz jakieś oszczędności, proszę cię bardzo, przyślij mi je jak najprędzej. Inżynier jest geniuszem. Wymyślił maszynę syntetyczną, która pierze, miele kawę i robi lody. Jednocześnie. Wyobraź sobie, wkładasz do takiej maszynki moją brudną koszulę, a otrzymasz lody pistacjowe, które, wiem, lubisz tak bardzo. Oczywiście, na wybudowanie tej maszyny potrzeba masę pieniędzy, a ja chciałbym wejść z inżynierem w spółkę. P. S. Skarżyłem się dziś pielęgniarzowi, że jeden z kuracjuszy, pułkownik Pierwszej Brygady, wykonywał cały dzień ćwiczenia gimnastyczne na moim łóżku, ale pielęgniarz odparł, że to zupełnie normalne, ponieważ wojskowy musi dbać o utrzymanie sprawności fizycznej. Potem pielęgniarz zrobił mi w ramię zastrzyk ze strychniny".

Po miesiącu pewien komiwojażer dostarczył Kowałkiewiczowej dalszą porcję materiału informacyjnego od męża:

„Bardzo mi przykro, gdyż inżynier się na mnie obraził i w ogóle mnie nie poznaje, ponieważ nie chciałem wyrazić zgody na urządzenie lodowiska hokejowego w Zatoce Puckiej. Zaprzyjaźniłem się wobec tego z pułkownikiem. Bardzo porządny człowiek. Wczoraj w nocy odczytał mi rozkaz dzienny, którym to rozkazem otrzymałem stopień majora i najwyższe odznaczenie bojowe".

Kowałkiewiczowa nie dokończyła tego listu. Tknęły ją najgorsze przeczucia. Pojechała nazajutrz do sanatorium. Akurat ordynator wrócił z nad morza i przyjmował interesantów.

— Kowałkiewicz, Kowałkiewicz zaczął powtarzać. — Nie pamiętam.

— To ten — pośpieszył z wyjaśnieniem pielęgniarz w białym kitlu, pukając się znacząco w czoło — gwałtowny.

— Aha, już wiem — rzekł po namyśle



ordynator — Więc, o co chodzi?

— Mój mąż, panie doktorze, nie jest żaden gwałtowny, tylko wyczerpany. A w ogóle dostaję takie listy, że chciałabym go stąd zabrać...

— Zabrać? — zastanowił się ordynator — Hm, to bardzo ciężka sprawa. Chyba na pani odpowiedzialność. Proszę podpisać to oświadczenie: inaczej wariatów na wolność nie wypuszczamy.

Kiedy w roku 1830 odbywały się walki uliczne i ktoś chodził pod wystrzałami gwardii szwajcarskiej, dając wszystkim rady i sądząc trafność strzałów. Zatrzymał się za jednym rewolucjonistą, który strzelał słabo i za każdym chybionym strzałem nieznajomy wydawał okrzyki oburzenia.

— Niech pan próbuje sam! — zawołał wreszcie znudzony rewolucjonista i oddaje strzelbę nieznajomemu.

Ten bierze, strzela, trafia Szwajcara i zwraca oręż.

— No, dalej — mówi powstaniec — niech pan jeszcze strzela!

— O nie, ja nie mogę; jestem innych przekonań! — odpowiada nieznajomy i odchodzi.

Rzekł raz dąb, patrząc na kłujące osty:
„Pocóż się o przechodniów zaczepiasz zuchwale?
Jakiż z tego pożytek padnie ci w udziale?"
Na to oset: „Żaden, Mości panie!
Mój cel jest bardzo prosty:
Chcę ludziom podrzeć ubranie!"

Pan de La Bare kochał się w pani de la Sablière. Ciągnęło się to bardzo długo. Pewnego razu, gdy przyszedł ją odwiedzić, zawołał:

— Mój Boże! Co pani ma w oku?

— Ach, panie La Bare — odpowiedziała ona — pan mnie już nie kocha; całe życie mam tę wadę w oku, a pan ją dziś dopiero zauważył.

Przyjaciele wyrzucali pewnemu pisarzowi, że nazbyt goni za popularnością.

— Przyznaję — odpowiedział — że wolę setne wydanie, niż setną rocznicę.

Oficer gwardii francuskiej do oficera gwardii szwajcarskiej:

„Gdy wy się bijecie, to wam chodzi o pieniądze, a nam o honor"

— Każdemu chodzi o to, czego mu brak."

Dymisjonowany minister spotyka jednego z najbardziej natrętnych klientów, który mu się nie kłania. Rozgniewał się:

— Pan sterczał zawsze w moim przedpokoju! —

— Jeszcze tam jestem! —

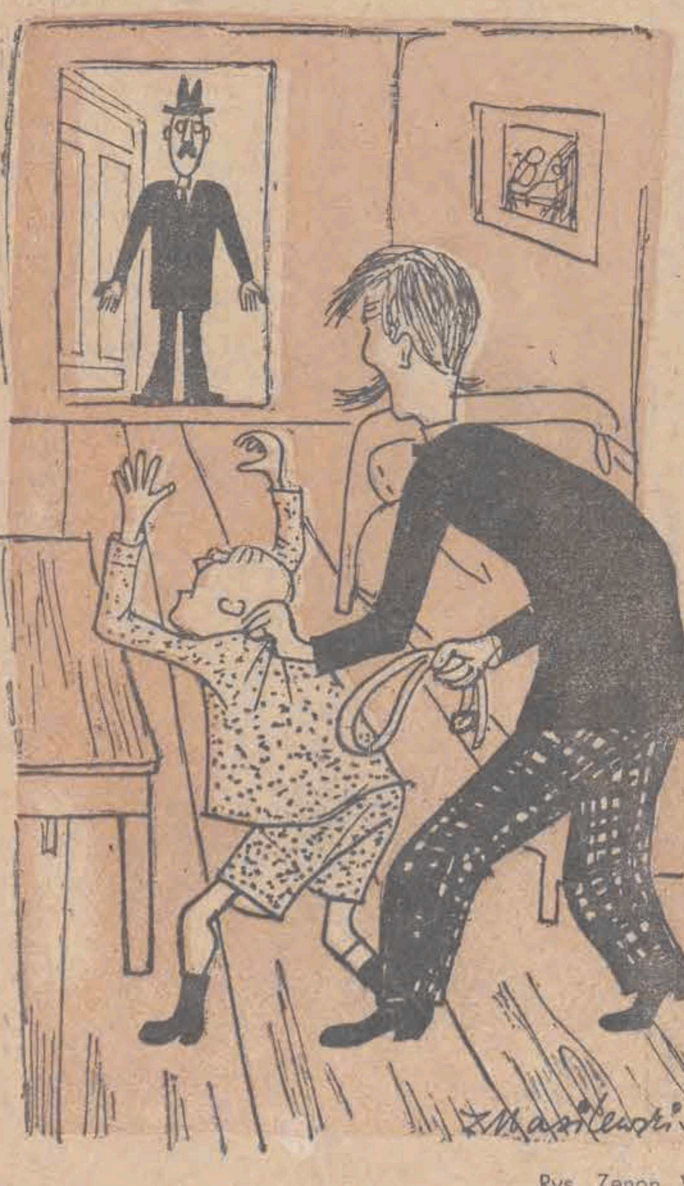
— Ja wrócę do władzy, a wtedy...

— Jeszcze tam będę.

Znany krytyk paryski Bofa surowo ocenił powieść Mauriac'a „Płomienna Rzeka". Napisał, że jest to nie rzeka, lecz poprostu mały deszcz.

Mauriac posłał mu następną swoją książkę z taką dedykacją:

„Gustawowi Bofa z prośbą aby przeczytał to pod parasolem"



Rys. Zenon Wasilewski

— Za co pan tak bije swego synka?
— Bo jutro po obiedzie przyniesie cenzurkę, a ja wyjeżdżam dziś wieczorem!

Pewien zamożny człowiek, rozczulony przez żebraka losem jego żony i dzieci, udzielił mu większej jałmużny, niż to bywa w zwyczaju. Po pewnej chwili spotyka go w restauracji jedzącego ostrygi i nie może się wstrzymać od wymówek. „Panie, odpowiada żebrak, ma pan rację, ale niech mnie pan wysłucha. Jak nie mam pieniędzy, to nie mogę jeść ostryg. Jak mam pieniądze, to także nie mogę jeść ostryg. Kiedyż ja będę jadł ostrygi?

Pewien szlachcic równy pochodzeniem królowi, pobożnością papieżowi, a ubóstwem Hiobowi przyszedł raz do zajazdu we Francji i długo pukał do drzwi, zanim się ktoś odezwał. „A kto tam? — zapytał gospodarz przez okno. — Tu jest, powiedział Hiszpan, José Juan Pedro Fernandes, Rodriguez de Villa Novo, conde de Malaia, cavallero de Sant-Jago y d'Alcantara". Na co gospodarz zamykając okno: „Nie ma u nas miejsca na tylu panów".

Kiedy Pani Desportes została kochanką Ludwika XV, król jej powiedział: „Przeszłaś przez ręce wszystkich moich poddanych!" — Ach! Sire! — Miałaś diuka de Choiseul.

— On ma taką władzę'

— Marszałka Richelieu.

— Jest taki mądry!

— Mainville'a.

— Ma taką śliczną nogę!

— Doskonale, ale diuk d'Aumont, ten już nic takiego niema. — Ach, Sire, on jest tak przywiązany do Waszej Królewskiej Mości!"

Pewien kaznodzieja w kazaniu gromił rozpustnych starców. Król, wychodząc z kaplicy, wziął pod rękę marszałka de Richelieu.

— No, panie marszałku, powiedział, czy nie wydaje się panu, że ksiądz wrzucił trochę kamyków do pańskiego ogrodu?

— O, i to tak mocno, że parę wleciało aż do parku Waszej Królewskiej Mości.

Ludwik Jerzy Kern

O zmartwychwstaniu germańskich legend

Zaledwie krótki rok przeminął
odkąd germańskich legend czar prysł,
ciężkich jak monachijskie piwo,
ponurych jak teutońskie żarty,
czarnych jak miasta w zaciemnieniu
i zimnych jak prusacki order,
legend, co w swoim zaślepieniu
rodziły gwałt i ziały mordem,
a już germańscy po Stuttgarcie
okazję hulać mają czarci.

Po ujarzmienia krótkim roku,
po krótkim roku potępienia,
na światło znowu wyszły z mroków
germańskie mity i marzenia
i znów nad Łabą i nad Renem,
jak ileś temu lat w Szwarcwaldzie,
kuje się nową broń z tych legend,
dając im zagraniczne wsparcie
i etykietę Made in USA,
żeby germańską dzicz rozruszać.

Boli nas, boli szyld aliancki
dla niemieckiego „Drang nach Osten",
szyld, który wskrzesza czar germańskich
legend jak dawniej naszym kosztem.
Z każdym dniem legend więcej będzie,
legendy sypną się jak z worka
i tak legenda po legendzie:
o lebensraumach... herrenvolkach...
I splajtowane wrócą mity
i wzrastać będą apetyty.

Nic więc dziwnego, że szaleją
z ponurych legend Hexy grube.
Byrnes jest dziś wielką ich nadzieją,
tak jak był kiedyś Schickelgruber.
I wyją Hexy, wyją rade
jadąc na miotłach nocną głuszą,
I trzęsą, trzęsą Hexy zadem
i kuszą czartów, Hexy, kuszą —
I idą nocą po Stuttgarcie
w Hexowym wyciu pląsy czarcie.

Ze starych bajek Ejsmonda

BAJKA O ZERZE

Rzekło nadęte zero: „Mam dziś wpływ szalony.
Z setek czynię tysiące, z tysięcy miliony,
a z milionów miliardy.
Dla wszystkich pełnem wzgardy".
Któraś z cyfr zapytała: „Lecz cóż z władzy twojej,
gdy nikt przed tobą nie stoi?"
Do zer, szanowny radco, w społeczeństwie zdrowym
Chodzi się z interesem — ale nie państwowym!

Odkrywamy „nowe talenty"

JĘZYK.

Wszystko się tępi na świecie:
Nóż, brzytwa i piła,
A nawet się tępią głowy.
Lecz nie ma nawet mowy,
Żeby czasu siła
Ostrze języka stępiła.

nadesłał Leon Gąska.

Panie Redaktorze!

Ja to taki nieuświadomiony jestem że aż wstyd. I gdybym nie miał koło siebie mojej ciotki, która się ze mnie wyśmiewa, to bym wcale nie pytał Bo takie rzeczy powinien każdy obywatel wiedzieć. Przyszło mi do głowy, żeby pana nie fatygować i zapytać ciotki, ale to bym sobie dopiero narobił. To już wolę zapytać pana.

Chodzi mi o to, jakie ma zadanie do spełnienia Ministerstwo Propagandy?

Będzie się pan śmiał, że jeszcze tego niewiem, a mnie to męczy. Ale zacznę od początku, żeby Pan mnie dobrze zrozumiał.

Wczoraj przyniosła moja ciotka do domu angielską gazetę. Nie pamiętam dobrze jak się nazywała — Pele-Mele, czy Daily Maily. Rzuca mi pod nos ogromną płachtę papieru i, uśmiechając się złośliwie, powiada: Masz, czytaj, żebyś wiedział, co się w Polsce dzieje.

Ja, Panie Redaktorze, po angielsku nie umiem i mówię ciotce, żeby mi dała spokój ale jeszcze gorzej wpadłem, bo zaczęła mi wszystko tłomaczyć.

Prawda, Panie Redaktorze — stało jak byk napisane — (przepraszam za tego, byka, ale chciałem się dosadnie wyrazić) stało napisane, że onegdaj w Polsce rozpoczęła się wojna domowa na 500 milowym froncie z udziałem czołgów i samolotów, pożyczonych od Sowietów.

— Widzisz, powiada ciotka — takie rrzeczy się u nas dzieją. Do czego doprowadzili. Pod Krakowem szaleje bitwa, nad Bugiem cała armja się bije.

Ja na to ciotce powiadam, że jakoś u nas nic o tym nie słychać, a ciotka na mnie z gębą, że [illegible] zecie napisane, to musi być prawda.

Pan Bóg z nią, czyli z ciotką, Panie Redaktorze — ale mnie martwi jedna rzecz. To, że tam gdzieś po gazetach piszą różne cudeńka — no, to po to są gazety, żeby pisały — ale ponieważ to się zbyt często powtarza, to musi być ktoś co tym gazetom wytłomaczy, że to nieprawda.

Bo ciotka mówi, że gdyby to nie była prawda, toby Propaganda zaprzeczyła — powiedziałaby do Anglii przez Radio albo napisałaby do niej list, żeby się nie wygłupiali, a jeśli nie piszą, to widocznie nie mogą zaprzeczyć.

I ja chciałem się właśnie zapytać, czy Ministerstwo Propagandy pisze jakie listy zagranicę, czy nie. Ja sobie myślę, że pewnie pisze, ale napewno za mało, bo gazety zagraniczne co rusz to coś wymyślają, a my tak jakoś cicho siedzimy. Jak ma być, Panie Redaktorze, propaganda, to niech będzie.

Ja wczoraj na ulicy słyszałem, jak jeden pan mówił, że człowieka [illegible]szewska pasja ogarnia na tę śpiącą propagandę. Że tyle już mamy o sobie do powiedzenia zagranicznym narodom — a tu takie bzdury o nas gadają.

Muszę już kończyć i iść spać, bo ciotka krzyczy, że nafta drogo kosztuje, a z Irakiem jeszcze nie wiadomo, a chociażby z Irakiem było wiadomo, to niewiadomo, czy Anglia pośle naftę wpierw Grecji, czy najpierw nam. W ogóle ciotka ma coraz więcej kłopotów, ale całe szczęście, że czyta angielskie gazety, bo to ją podtrzymuje na duchu.

Ignaś Wójcik

Odpowiedzi Redakcji

„Danusia" (Skolimów pod Warszawą): Jan Czarny nie jest wprawdzie osobą, o którą Pani chodzi, tym niemniej bardzo ucieszył się ze słów uznania dla swych fraszek.

Winkler Władysław (Łódź): Stałe miejsce w dziale „Odkrywamy nowe talenty" — zapewnione.

Z. J. (Jelenia Góra). Niestety — nie!

J. B. Grzymała (Poznań). Nie modne.

Barbara Koszuta (Poznań). Pisze Pani: „mam pociąg do pisania wierszy przeważnie miłosnych". „Rózgi" nie są, niestety, stacją, na której się ten pociąg zatrzyma.

Zbigniew Lengren (Toruń). Dziękujemy za pozdrowienia i życzenia. Na „kontakt rysunkowy", naturalnie, reflektujemy.

Adela Dziurdziówna (Piaskowo koło Olsztyna). Dziękujemy, nadeślemy.

Jan Kanty Piess (Łódź). Czego Pan chce od A. Pogonowskiej? Z nadesłanych anegdotek postaramy się coś wybrać.

Andrzej Pureau (Warszawa). Z nadesłanych życzliwych uwag, oczywiście, skorzystamy.

S. P. — 15 (Częstochowa). Może co innego?

Motylewski Kazimierz. Nie humorystyczne i nie satyryczne. Nie dla nas.

„Czytelnik dzienników krakowskich" (Kraków). Myśl zacna, opracowanie kiepskie.

Dożynki szabrowników



Rys. Kazimierz Grus

PLON WIEZIEMY, PLON

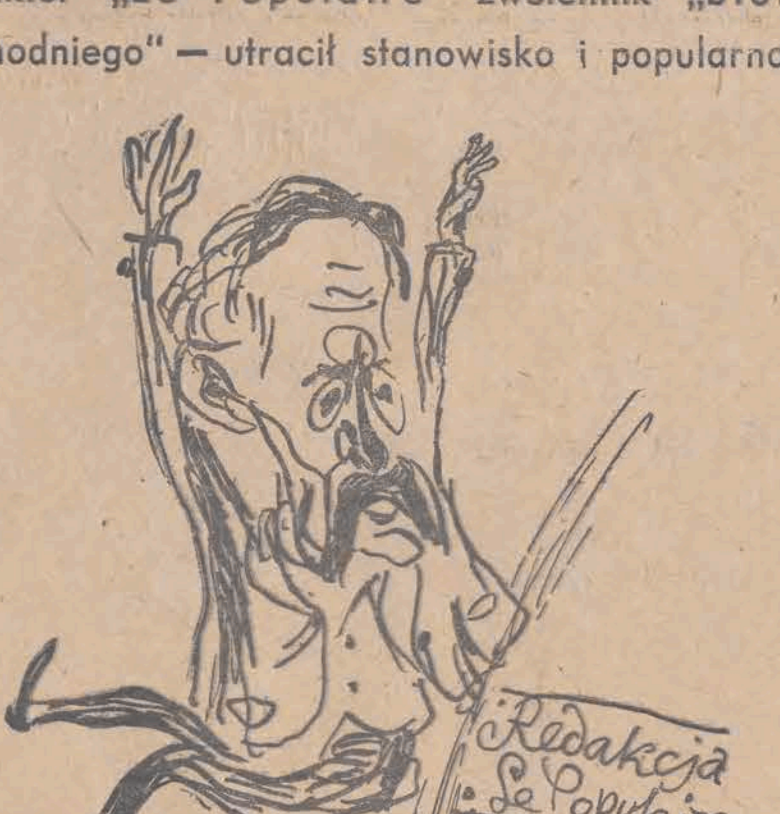
W związku z miesiącem odbudowy Warszawy



Rys. Henryk Tomaszewski

„Ja wiem, że ty będziesz nie taka..."

Leon Blum, przywódca socjalistów francuskich, redaktor „Le Populaire" zwolennik „bloku zachodniego" — utracił stanowisko i popularność



Rys. Henryk Tomaszewski

Nie — „Populaire"

INTERPELACJE

Była rok temu dyskusja w prasie, cui bono zostało powołane do życia Ministerstwo Kultury i Sztuki. W dyskusji pojawiło się między innymi przypuszczenie, że Ministerstwo powyższe ma na celu krzewienie kultury, tudzież propagowanie sztuki. Ponadto ktoś tam — nie pamiętamy — wyraził akt wiary, że Ministerstwo Kultury i Sztuki — to Ministerstwo Obrony Interesów „ludzi pióra, lud-i pendzla" itd.

Tak się składa od pewnego czasu że Ministerstwo Kultury i Sztuki ma wyjątkową okazję do występowania w tym ostatnim charakterze. Chodzi o grubą rybę, cóż tu dużo gadać — rekina wydawniczego, wzmiankowanego tylekroć w różnych czasopismach pana E. Kuthana. Pan E. Kuthan w związku ze swoją działalnością (inicjatywa prywatna) doczekał się takich oto recenzji:

Jan Brzechwa

CASUS KUTHAN

(wyjątki z artykułu w Nr. 23 „Kuźnicy")

Był koniec roku 1943. Garstka literatów imała się najróżnorodniejszych zajęć, aby ratować swą egzystencję. O zarobkowaniu piórem nie mogło być oczywiście mowy. Wypłynął wtedy niejaki Eugeniusz Kuthan, wzbogacony w czasie wojny księgarz warszawski.

Byłem jednym z pierwszych, którzy znaleźli się w kręgu zabiegów Kuthana, Nabył ode mnie książkę p.t. „Pan Drops i jego trupa", którą wydał w r. 1945 w 10.000 egzemplarzy i cenie 300 zł. za egzemplarz. Łatwo obliczyć, ile powinno wynieść obecnie normalne, piętnastoprocentowe honorarium. Kuthan zapłacił mi za nią w r. 1944 złotych 13.000, chociaż zgodnie z obowiązującym w tym czasie mnożnikiem księgarskim, należało mi się conajmniej pięć razy tyle. Gdy usiłowałem wykazać mu, że tranzakcja jest dla mnie krzywdząca, Kuthan w przyjacielskiej rozmowie oburzał się teatralnie i twierdził, że przecież on, dobroczyńca pisarzy, z chwilą ukazania się książki napewno nie będzie upierał się przy umowie i odpowiednio honorarium wyrówna.

Wojna skończyła się. „Pan Drops i jego trupa" został wydany i jest na wyczerpaniu, parę milionów złotych wpłynęło do kasy Kuthana.

Zresztą, prócz mnie ofiarami wyzysku Kuthana padli jeszcze J. M. Rytard, S. Kuszelewska, córka Or-ota, Wł. Rymkiewicz, J. M. Szancer, T. Gronowski, Z. Jurkowski, Z. Petersowa i wielu innych.

Łódź, dnia 6 maja 1946 r.

W ubiegłym roku ustąpiłam mu prawo wydania mojej książki p.t. „Wrzesień Warszawy" w nakładzie 3.000 egzemplarzy, przy czym z uwagi na sytuację, w której umowa była zawierana, zmuszona byłam zgodzić się na sumę ryczałtową w wysokości 15.000.— zł. Bez mojej wiedzy E. Kuthan nadbił 3.160 egzemplarzy, po czym, po kilku miesiącach zwrócił się do mnie z prośbą o zaakceptowanie tego, co też wskutek niedoświadczenia uczyniłam i zgodziłam się przyjąć ponownie ryczałtową zapłatę w sumie zł. 15.000.— Dopiero jednak przed 2 tygodniami na skutek moich nalegań wpłacił mi tę sumę i w ten sposób zamiast normalnego honorarium autorskiego 15 proc., które wynosiły 108.000.— otrzymałam ogółem 30.000.— zł.

Stwierdzam, że jest to akt wyzysku, co podaję do wiadomości Związku.

Zofia Petersowa

(wyjątki z listu)

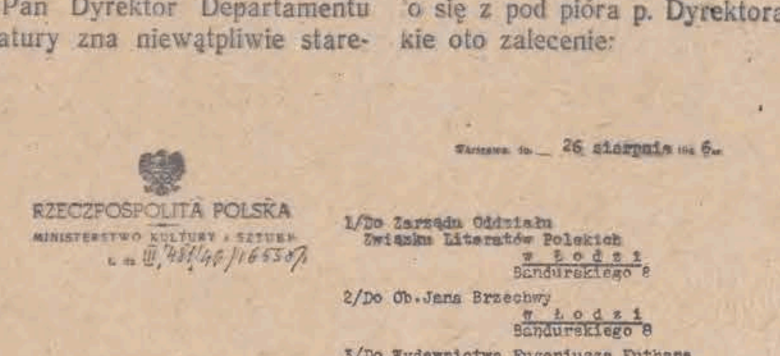
Szanowny Panie Redaktorze!

Jako autorka żurnali mód p.t. „Rewia mód" zostałam omotana przez E. Kuthana, który przy użyciu podstępnych zabiegów doprowadził mnie do ruiny, zatrzymując kilka tysięcy egzemplarzy opracowanych i wydrukowanych moim staraniem żurnali i odmawiając mi należytej zapłaty. Należność moja wynosi ponad 181.000 złotych. Odmowie zapłaty towarzyszą zniewagi słowne i pogróżki.

Maria Bereśniewicz

Kraków, ul. Biskupia 10/11.

W Ministerstwie Kultury i Sztuki znajduje się pewna ilość osób, które prasę polską przeglądają. Robi to nawet sam Dyrektor Departamentu Literatury, p. K. Czachowski. Pan Dyrektor Departamentu Literatury zna niewątpliwie starego, poczciwego Fredrę, ale przez usta p. Dyrektora nie może przejść owo przysłowiowe powiedzonko: „Tam do licha z tym... Kuthanem". Natomiast bardzo łatwo wymknęło się z pod pióra p. Dyrektora takie oto zalecenie:



Warszawa, dn. 26 sierpnia 1946.

RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTERSTWO KULTURY I SZTUKI
L. dz. III/481/46/1165587

1/Do Zarządu Oddziału Związku Literatów Polskich w Łodzi Sanduskiego 8

2/Do Ob. Jana Brzechwy w Łodzi Sanduskiego 8

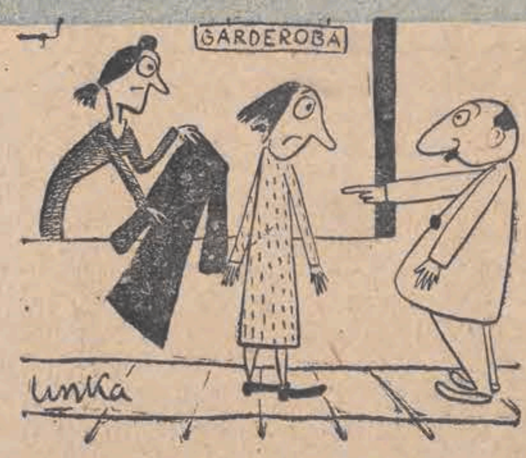
3/Do Wydawnictwa Eugeniusza Kuthana w Warszawie Plac Trzech Krzyży 17

W związku ze sporem pomiędzy Janem Brzechwą a Wydawnictwem Eugeniusza Kuthana Ministerstwo Kultury i Sztuki podaje do wiadomości, że sprawę zgłoszono do Ministerstwa Kultury i Sztuki. Biorąc to pod uwagę oraz celem utrzymywania wzajemnie lojalnych stosunków między pisarzami a wydawcami Ministerstwo Kultury i Sztuki zwraca się z zaleceniem poniechania wszelkich publicznych oświadczeń w tej sprawie do czasu jej rozstrzygnięcia przez kompetentne Władze lub Sądy.

Powyższe podaje się jednocześnie do wiadomości w komunikacie prasowym Ministerstwa Kultury i Sztuki.

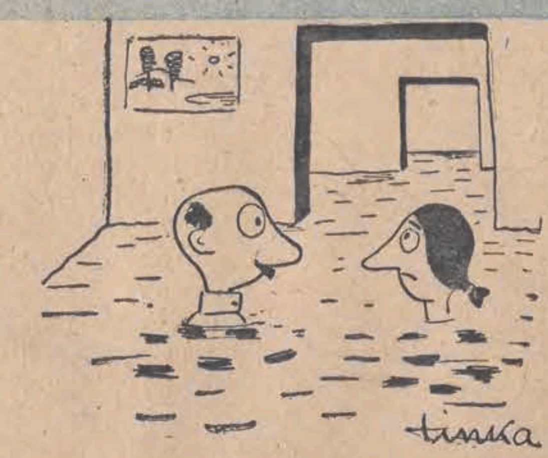
DYREKTOR
DEPARTAMENTU LITERATURY
/K. Czachowski/

P. Dyrektor Czachowski — jak wynika z „zalecenia" jest bardzo lojalny w stosunku do p. E. Kuthana, trochę mniej — w stosunku do pisarzy, wykantowanych przez w/w lojalnego wydawcę. Interpelacja: czyim właściwie interesom służy Departament Literatury Ministerstwa Kultury i Sztuki?



Rys. Jan Linka

— Czy mógłbym także zostawić moją żonę w garderobie?



Rys. Jan Linka

— A ja się założę, że zapomniałaś zakręcić kurek od gazu.



Rys. Jan Linka

— Jeśli się pani hrabina nudzi, to ją rozerwiemy.

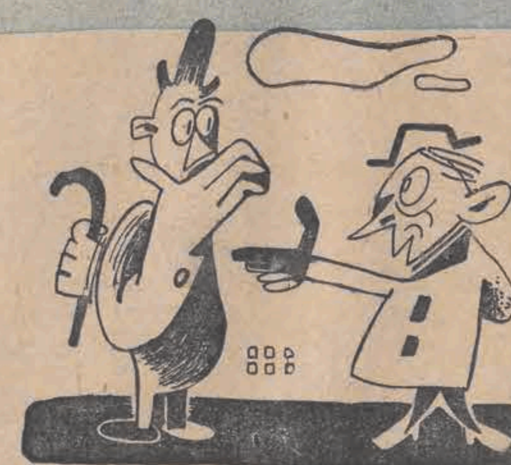


Rys. Zbigniew Lengren

— Pomyśl, co to były za czasy, kiedy ciastko kosztowało 50 gr.

— Czyż by ci się teraz tak źle powodziło?

— Eee — to nie! Ale wtedy miałam 25 lat.



Rys. Karol Baraniecki

— Życie ludzkie jest jak karuzela...

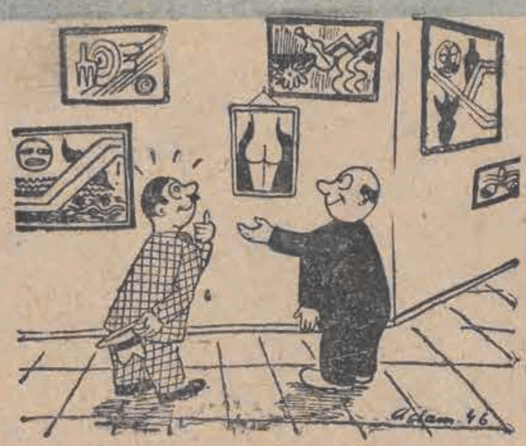
— Dlaczego? —

— A bo ja wiem?!...



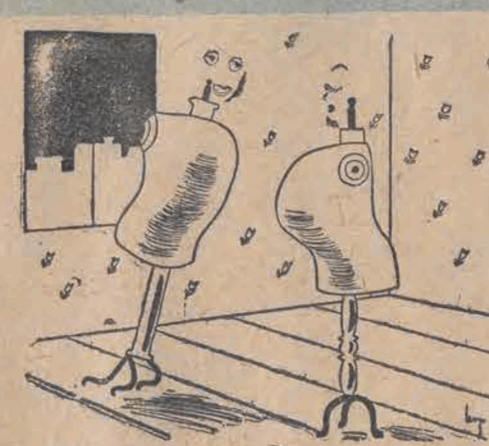
Rys. Marek Kononowicz

— Przed wojną góra ta miała 1200 metrów, ale tera, jak tak przeliczyć na słoninę, to będzie miała ze 20000 metrów.



Rys. Adam Bieńkowski

— A nie mówiłem, że wystawa futurystów będzie ci się podobała?



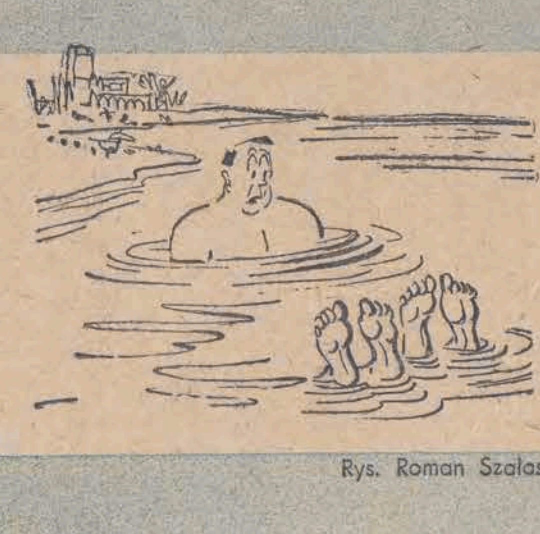
Rys. Jan Lenica

Najdroższa, czy mogę cię prosić o rękę?

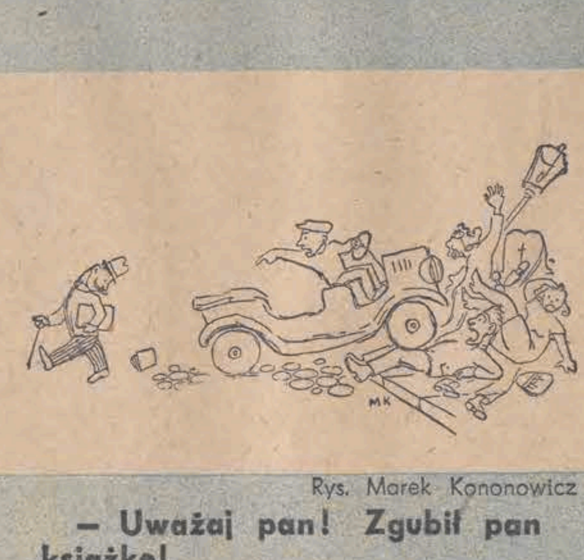


Rys. Adam Bieńkowski

— Nie kłaniaj się! Ona nie jest szczepiona!

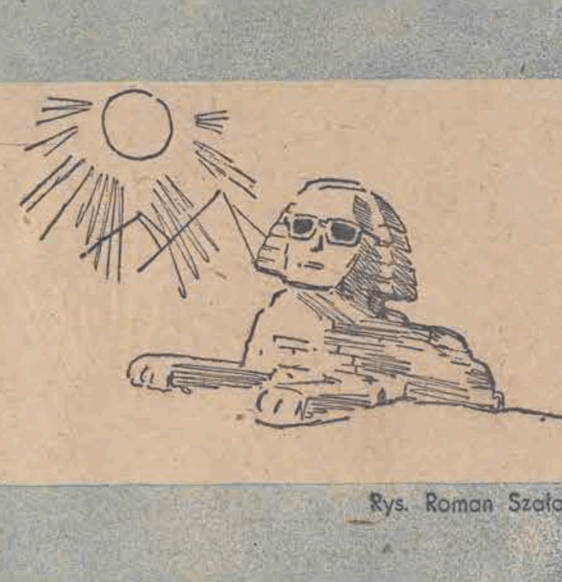


Rys. Roman Szalas



Rys. Marek Kononowicz

— Uważaj pan! Zgubił pan książkę!



Rys. Roman Szalas

Przedruk bez podania źródła wzbroniony. „Rózgi" ukazują się co tydzień. — Redakcja: Łódź Piotrkowska 98. D 08901
Redagują: Stanisław Sojecki, Stefan Stefański, Henryk Tomaszewski.
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42.